

## Poezja w Białymstoku. Poezja w Białymstoku / z 2021 roku

– z Dawidem Bujną rozmawia Piotr Janicki.



fot. Justyna Sawczuk

**Piotr Janicki:** Mamy rozmawiać o poetyckich debiutach nominowanych do Nagrody Literackiej Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego za rok 2021, ale w kategorii najlepszej książki widać jeszcze jeden tom wierszy, *gift. z Podlasia* Justyny Kulikowskiej i okazuje się, że tamte trzy i ten czwarty<sup>1</sup> – wszystkie wydała Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu. Spektakularne...

**Dawid Bujno:** Po części jest to przypadek, a po części wynika z tego, że WBPiCAK wydała w zeszłym roku wyjątkowo dużo debiutów, bo aż cztery (dwukrotnie więcej niż w 2020; w 2019 pamiętam tylko jeden) i w ogóle

miała bardzo dobry rok: poza *giftem...* (dla mnie to jedna z najlepszych ubiegłorocznych książek w perspektywie globalnej i ponadgatunkowej) opublikowała np. ostatni tomik Cezarego Domarusa, czy aż dwie nowe rzeczy Tomasza Bąka. To są świetni autorzy i świetne wydawnictwa. A przypadek dlatego, że te wspomniane przez ciebie cztery nominowane książki były też jedynymi poetyckimi propozycjami, na które ostatecznie, w ferworze dyskusji, zgodzili się wszyscy członkowie kapituły. Do końca nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że ta lista tak nam się układa. Oczywiście tych propozycji pojawiło się podczas obrad więcej, ale z jakichś powodów nie byliśmy w stanie dojść w ich sprawie do porozumienia.

<sup>1</sup> W kategorii najlepsza książka roku *gift. z Podlasia* Justyny Kulikowskiej, a w kategorii najlepszy ogólnopolski poetycki debiut roku *Różowy flaming* Przemysława Góreckiego, *Wszystko już było dotykane* Kingi Skwiry oraz *polski wrap* Marty Stachnialek.

Wszystko jasne. A co byś powiedział o *gifcie...*, jako jednej ze składowych obrazu roku 2021 w poezji polskiej? Czy wystarczy wspomnieć jej wybuchowy, czy wręcz spazmatyczny charakter? Albo czy ciebie też ona dusiła? Ja sobie tego nie wymyśliłem:

*i żeby fraza stała się klatką,  
i kołowrotkiem dla szczura,  
niech się kręci<sup>2</sup>.*

Właśnie na mapie najnowszej poezji polskiej, na której wyraźnie widać kręgi różnorodnych tradycji (popatrz! ten poeta jest z Sosnowskiego, a tamten z Ryby<sup>3</sup>, tutaj zaś leży minimalizm, a tam poeci zaangażowani) Justyna Kulikowska zdaje się zajmować miejsce niepodległe, może jedynie graniczące z rozpoznanymi już zjawiskami. Bo oczywiście autorka *giftu...* nie wzięła się znikąd, słyhać, że mamy do czynienia z poezją tego czasu. Na przykład to spazmatyczne, uporczywe powtarzanie określonych fraz („trzymała mnie za pysk partia ojca”, a w wierszu obok: „trzymała mnie za pysk religia matki” itd.) kojarzy się, rzecz jasna, z Tkaczyszynem-Dyckim. Ale Kulikowska brzmi zdecydowanie inaczej niż Dycio, inaczej niż wszystko. Pamiętasz, jak jej debiut *Hejt i inne bangery* spolaryzował zdezorientowanych czytelników? Ludzie do końca nie wiedzieli, z której strony do tego podejść. Tymczasem jej projekt (jak to się mówi) okazał się od początku pomyślany i *gift...* stanowi jego najpełniejszą (póki co) realizację. Bo jeśli poprzednie *Tab\_s* sprawiało jeszcze wrażenie, jakby poetka wciąż stroiła swoją frazę (powyżej podałeś przykład charakterystycznych metakomentarzy), to już zeszloroczny tomik wydaje się kompletny, a jego wybuchowy charakter ma służyć temu, aby w sposób miarodajny opowiedzieć o traumie. Stąd też wrażenie „duszenia”.



Justyna Kulikowska, *gift z Podlasia*, Wydawnictwo WBPiCAK, 2021

...również termicznym kocem okładki, bo Piotr Zdanowicz, którego graficzne koncepcje każdej z czterech przywołanych tu książek, to sam w sobie atrakcyjny temat.

Kulikowska wierszami chwyta i pęta wiele różnych problemów (np. problem literackiego laboratorium: odmieniana na różne sposoby „dykcja”, „fraz”, „wers” itd.), inne wydają się – jeśli nie mieć nad nią władzy, to przynajmniej –orientować głos mówiący w tomie; czy fragmenty: „[zamknij już mordę]”, „skórzany pas czy mokry kabel?”, „winnych i niewinnych / maglować tak samo?” nie budzą w nas psychopatologów?

Tymczasem tuż obok propozycja Kingi Skwiry pt. *Wszystko już było dotykane*, a w niej, w swoim wyrachowanym („znalazłam sobie chorobę”, „męczy mnie dzisiaj plastik” itd., a obok stany niewiedzy, zmęczenia/bezsiły, powtarzające się zapominanie i niepamiętanie) męczeństwie podmiotka doścignęła najbogobojniejsze figury otumanionych złymi duchami trucielek wmuszających w nas zupę z grzechem – co myślisz?

Jeśli stawiamy obok siebie Kulikowską oraz Skwirę, to oczywiście na zasadzie kontrastu. Odnosząc się do tej psychopatologii, wiersze Kulikowskiej działają poniekąd jak tabsy psychotropowe (mimo że okładka Piotra Zdanowicza do poprzedniego tomu *Tab\_s* korelowała tytuł z klawiszami klawiatury komputera, co współgrało z cyfrową metaforyką obecną w tamtej książce, już początek *giftu...* rozwiewa wszelkie wątpliwości, o co tu chodzi: „trittico świeciło najmocniej”, a dalej: „próbowała wyczyścić folder siedzi\_na\_relanium”). Ta poezja, jak to się mówi, wali mocno w łeb. Rzecz jasna, co innego oznacza to dla podmiotki, która wierszami próbuje przepracować traumę, a co innego dla czytelników, którzy z ze-

<sup>2</sup> J. Kulikowska, *gdymyś był pulą*, [w:] *teżę*, *gift. z Podlasia*, Poznań 2021, s. 16.

<sup>3</sup> Robert Rybicki.



Kinga Skwira, *Wszystko już było dotykane*, Wydawnictwo WBPiCAK, 2021

wnętrz przyglądają się temu rozdrapywaniu (nie bez przyczyny pojawiają się tu odnośniki do stron pornograficznych, co niejako sugeruje stosunek osoby mówiącej do własnego uzewnętrzniania się).

Kinga Skwira artystycznie jest dużo subtelniejsza. Bo ni- by jej debiut pełen jest obrazów rozkładu, martwych zwierząt, surowego mięsa, otwartych ran, wnętr-

ności i tak dalej, i cały czas mówi się tu o umieraniu, ale jednocześnie żaden z nominowanych tomików nie jest aż tak sensualny, przynajmniej ja miałem miejscami wrażenie, jakbym mógł te wiersze, no właśnie, dotknąć (czytałem tę książkę na smartfonie, ponieważ jeszcze przed zgłoszeniem jej do Nagrody, cały nakład się wyprzedził i dostaliśmy jedynie wersję elektroniczną, z tego też powodu zostawiłem ją sobie na koniec – wołę jednak papier – i przy pierwszej lekturze od razu jednym ruchem palca przewinąłem plik do wierszy, pomijając strony tytułowe, więc nie pamiętałem tytułu i kiedy dobrnąłem wreszcie do ostatniego, tytułowego kawałka, uderzyło mnie, jak to zdanie doskonale podsumowuje całość: „Wszystko już było dotykane”; nie zawsze tak jest z tytułami książek, nie do tego stopnia). Niby poetyka autorki może przywołać na myśl z jednej strony nurt ośmielonej wyobraźni, a z drugiej takie poetki jak Lebda czy Klicka ze swoją rozbujającą metaforą, ale obrazki Skwiry są jednak bardziej, powiedzmy, wyciszone, skupione, stonowane, mimo że kolejne jej asocjacje również prowadzą czytelnika w rejony, które trudno byłoby mu przewidzieć. Sama muzyczność tych wierszy (dla mnie niezwykle istotna kwestia!) jest subtelna: wszystkie instrumentacje głoskowe, aliteracje itd. są jakby delikatnie schowane, nieoczywiste, a jednak podczas lektury cały czas coś nam w uchu drga („gotujemy gałęzie, rozcinamy żołądz”). Jak gdyby było to grane na jakimś cichym instrumencie i tylko raz autorka zagroziła, że wciśnie efekt przesterowujący dźwięk: „jeśli ktoś się do mnie przysiądzie, zacznę krzyczeć”. Co oczywiście

nie wyklucza faktu, że kipi tu od emocji. Natomiast te najbogobojniejsze figury, o których wspominałeś, są świetne! Pointa jednego z wierszy:

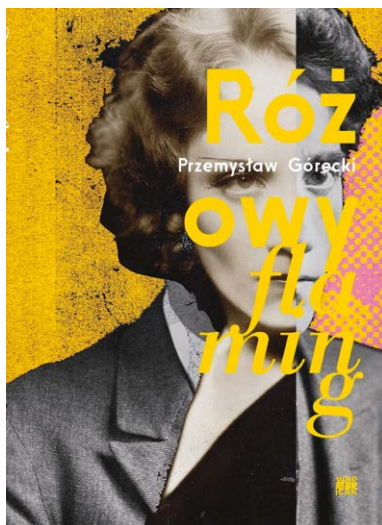
*przyszłam, żebyś umył mi ręce,  
kiedy wyglądam jak maryja ze schodzącym lakierem  
z paznokci.*

A co masz na myśli z tą „zupą z grzechem”?

**Że tkwię w jakiejś ponurej historii rodem z powieści Stephena Kinga, że Margaret White należy się pacyfikacja, okrutny wypadek Billy’emu Nolanowi, śmierć tej całej społeczności, która wyhodowała Skwirę, wydała jej tom i ją za niego nagrodziła. To jest mocna, biorąca mnie przygoda intelektualna. A i ta, że znajduję źródła fragmentów-wycinanek *Różowego flaminga* Przemysława Góreckiego, też jest nietrywialna. Zaczyna się jak objawienie z drugiej ręki, ale nie relacjonowane, a układane w głowie, dostosowane do obowiązującego modelu, aż tu żart z dość dobrze przyswojonego nurtu poetyckiego i ta wycinka rodzi w czytelniku zadowolonego z siebie filologa („tu cię mam, syniu!”). Hę?**

No tak, połowa mojej przyjemności podczas lektury poematu Góreckiego również opierała się na poczuciu rozpoznania. Budzę się w środku nocy, początkowo może trochę zdezorientowany, ale powoli identyfikuję kolejne przedmioty w ciemności i wreszcie dochodzi do mnie, że jestem w rodzinnym domu, gdzie przyjechałem na weekend albo święta. Bo nie chodzi tylko o wypatrywanie rozmaitych nawiązań (poza literackimi, również muzyczne, filmowe, malarskie), ale też o fakt, że poetyka *Różowego flaminga* tak bardzo przypominała mi literaturę, na której tak naprawdę się wychowałem, czyli – powiedzmy wprost – literaturę postmodernistyczną. To brzmi trochę, jak przekład nieznanego u nas dotąd poematu amerykańskiego z drugiej połowy XX wieku. Wszystko tu się zgadza: poczucie kontrolowanej improwizacji, gdzie długa, potoczna fraza tka sieć niepo- hamowanych metafor, nieskrywana erudycja, bo ogromna część hipertekstów jest przecież zupełnie na wierzchu, ironia, ale nie zakłócająca wrażenia, że poeta gra o wysoką stawkę. Górecki chciałby, abyśmy czytali tę książkę kluczem cam- powym, ale cały paradoks polega na tym, że podczas lek- tury odczuwałem konsternację właśnie z powodu braku

estetycznej konsternacji (charakterystycznej dla campu), bo mi się to po prostu wydawało bardzo ładne. Czy powiedziałbyś to samo o *Różowych flamingach* Johna Watersa? Czulem się więc podejrzanie bezpiecznie, czym pewnie rozczarowałbym samego autora. Natomiast druga połowa przyjemności polegała na tym, że rzeczywiście te zdania prowokowały mnie do układania w głowie własnych ciągów asocjacji i dlatego niemal po każdym robiłem mimowolną



Przemysław Górecki, *Różowy flaming*, Wydawnictwo WBPiCAK, 2021

przerwę, by gdzieś odpłynąć. Nie wiem, czy to były objawienia. Niewiele z tego pamiętam. Na pewno to trochę inna książka wśród wszystkich zgłoszonych w tym roku do Nagrody. Ale jestem ciekawy, jak podobał ci się nasz ostateczny wybór. Co myślisz o *polskim wrapie* Marty Stachniałek?

Mnie różowe i te mniejsze (też zresztą różowe) flamingi kojarzą się z jeziorem Natron w Tanzanii o takim chemicznym bukiecie, co zdolny

zamienić w wapienne figurki większość zwierząt, które do jeziora wstępują, poza nielicznymi, w tym flamingi. Flamingi w tym jeziorze żywią się sinicami, a to już jest świat Lynn Margulis, któremu chciałbym poświęcić więcej czasu, ponieważ tezy badaczk mogłyby zmienić nam postrzeżenie procesów społecznych, kulturowych, a właściwie już dawno temu zmieniły, współzmienny, bo przecież stoi u Stachniałek wyraźnie fragment pod wieloma względami niewyraźny, ale jednak zwieńczony zbitką „genetycznej niepewności”. Tom okraszają dziwne konstrukcje, przypominające obwiatywy, a chociaż to może tylko przykłady utraty przez poszczególne zdania kontroli nad podmiotem, to i tak odzierają mnie z pewności o tym, jaka/jaki/jakie jestem. Myślę, że na proces resegmentacji wierszy Stachniałek przypadł kres obrad jury. Tak o tej książce myślę: w niej asocjacje są szybsze, niż te obecne u Góreckiego, że migocą już w przedśionku sensów i seksów, już w niepewnych rymach...

„Ścieśniony przedpokój znaczeń”. *Angustia*. Metafora, którą skleił kiedyś Jacques Derrida i którą bardzo lubię. Cisną się przed nim i przepychają sensory. A „przedpokój znaczeń” łączy się u Derridy z „niepokojem pisania” oraz oczywiście z dekonstrukcją, która zakłada, że każdy tekst nieuchronnie traci kontrolę nad sobą i swoimi znaczeniami (a więc także podmiotem). I książka zaczyna się właściwie w jakimś przedpokoju, gdzie babcia Irena biegnie do łazienki za wnuczką (podmiotką wiersza) i traci kontrolę, bo niestety musiała poślizgnąć się na wymiocinach dziewczynki. Zamiast więc osoby mówiącej (jak to się mówiło na studiach polonistycznych) mamy osobę wymiotującą, która intonuje w ten sposób tomik z niezdrowym jedzeniem w tytule, co być może jest jakimś wyrazem „niepokojem pisania”, a na pewno (ponownie) utraty kontroli. I to prawda, obrazki, które poetka nam serwuje, od razu – już w przedpokoju czy przedśionku, jak mówisz – uruchamiają nam gotowe konteksty i sensory, ale na szczęście one za chwilę gdzieś się przesuwają. Żeby nie szukać daleko, po prostu przewrócę kartę na drugi wiersz w tomie, który natychmiast wydobywa z pamięci wszystkie ostatnio przeczytane powieści i wiersze o polskiej transformacji (sporo tego wyszło, sam przyznasz). Kolejki, NRD, narzekanie ludzi: „kiedy się to skończy”. A później podmiotka kreśli błyskawiczną, wierszowaną, niezbyt szczególną autobiografię, obejmującą dwadzieścia parę lat, po czym jakby zrezygnowana pointuje tym samym komentarzem: „kiedy się to skończy”, co ma już wymiar humorystyczny i zatrważająco egzystencjalny zarazem. Albo opisy miasta – opisy Warszawy – które się potem pojawiają. Niby wiemy, o co chodzi, ale one wydają się jednak inne, być może dlatego, że Stachniałek z wykształcenia jest geodetką, a być może związane jest to z czymś jeszcze. Bo ja chciałem tę wypowiedź zacząć trochę inaczej, jak słuchałem o twojej niepewności – Ale jakim językiem jest to napisane?! Albo: jakimi językami! Stachniałek bowiem inkorporuje wsze-



Marta Stachniałek, *polski wrap*, Wydawnictwo WBPiCAK, 2021



lacie rejestry językowe, często je po prostu parodiując, co nigdy nie zaburza odczuwalnej w tomie intymności (jak w kawalku, w którym mama przez telefon podaje córce przepis na ciasto). Bardzo ważne jest to pierwsze wrażenie, więc tutaj też opowiem. W kategorii debiut dostaliśmy 28 tomików. Niedużo, ale potrafi znużyć, zwłaszcza, jeśli zechcesz przeczytać np. 3 jednego dnia. I tak do *polskiego wrapu* przysiadłem w nocy (to był półmetek). Chciało mi się strasznie spać, ale uparłem się, że przynajmniej zobaczę, z czym to się je (wrap, wiadomo) i wtedy padnę. No ale czytałem i czytałem, i pamiętam, jak te wiersze mnie pobudziły, jakiego dostałem kopa. Tak oczywiście działa język, jeśli odpowiednio go użyjesz. Z jednej strony rytm (Zdanowicz, projektując okładkę, schował nieco literę „w” i w ten sposób podkreślił słowo „rap” w tytule), melodia (np. taka linijka: „płat po płacie, płacz po płaczu, pleć po płci, patrz:”), a z drugiej strony pewna naturalność, jaką charakteryzuje się głos Stachniałek, złożyły się na energetyczność tej książki. A jeśli już porównujesz ją do Góreckiego, to chciałbym zwrócić

uwagę, że w *polskim wrapie* także pojawia się wiersz wyrównany w składzie do prawego marginesu (jak wszystkie wiersze w *Różowym flamingu*). O ile jednak Górecki chciał w ten sposób (jak sam deklaruje) uderzyć w europocentryzm, przypominając, że poza naszą kulturą pisze się inaczej (aczkolwiek jego poemat mimo odwróconej typografii wciąż czytamy po europejsku, od lewej do prawej), to Stachniałek wykorzystuje podobny zabieg, aby podbić, zwizualizować temat utworu: babcia Irena „leży ze sparaliżowaną prawą częścią”. I ten wiersz – napisany przez wnuczkę, której starsza kobieta już nie poznaje – jakby ją wypełnia.

**No dobra. Fajnie, że z nami porozmawiałeś. Fajnie, że wybraliście takie fajne książki. Fajnie by było porozmawiać o tej mniej więcej porze za rok, co?**

Cała przyjemność po mojej stronie. Tak, to był niezły wybór, jak sądzę. I zdecydowanie dobry wybór, jeśli chodzi o zwycięzców. Dziękuję za rozmowę! Słyszmy się za rok!

## DAWID BUJNO

– urodzony w 1987 r., prowadzi cykl spotkań literackich pt. „Uwaga! Literatura” w Galerii im. Sleńdzińskich w Białymstoku, członek Kapituły Nagrody Literackiej Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego.

## PIOTR JANICKI

– urodzony w 1974 r., współtwórca i redaktor zina poetyckiego [www.cycgada.art.pl](http://www.cycgada.art.pl) (2005-2010). Autor tomów: *Nadal aksamit* (2006), *Wyraży uznania* (2014), *13 sztuk* (2016), „psia książka” (2018), *Spis treści* (wraz z Adamem Kaczanowskim) (2020), *Ćwiczenia muzyczne albo księga muz napisane przeze mnie na gruzach cesarstwa Stanów Zjednoczonych Ameryki Płn.* (2022). Współautor, wraz z Bartkiem Kalinką, płyty „Boży rok” (2007).